

Bernard Łach

* * *

Zostawiasz na talerzu przyjaciół
mniej myśli zjadłś
podenerwowana
niewiadoma przyszłości

za to do spodu
wylizujesz lepsze jutro
pieczołowicie
wszystko do ostatka

* * *

Wyobraź sobie kolację w czasie
której nic nie musisz mówić
Siedzisz w milczeniu uśmiechasz się
Rozkoszujesz się kalamarami po azjatycku
schabem z śliwkami i zupą gruszkową z
imbirem
Kieliszkiem czerwonego Bordeaux białego
Sauvignon Blanc

Między nami ściana tak delikatna
że wszystko słychać
Początkowo to krępujące
Nie patrzę Ci w twarz i miło się gada
Przypominamy wówczas niewidomych
stroiciele fortepianów
Tracąc wzrok wyostrzamy inne zmysły

Mówienie nie pozwala nam się cieszyć

* * *

Płatki brzozy świdrują na wietrze
lekko odchylona tuja brabant salutuje
kosmyki traw zielonych
i rzeźwiący podmuch

Żonkile żółkną dalej
koloryzują się sąsiadki tulipany
irys dalej fioletowy

i my świdrujemy salutujemy
bywamy zieloni
koloryzujemy i żółkniemy
fioletem okrywamy koniec

* * *

Spakowała walizkę
ledwo zamek dopięła
upchnęła kolanami
udało się nic nie uwiera
Wyjeżdża za dwa miesiące
jest już gotowa
Bilet Wizz air kupiony
by uwolnić się od deszczu złudzeń
które zjadała z każdym
śniadaniem lepszego jutra
Nic tu się nie wydarzyło

mega różowego na tyle
by miała zostać dalej
i nadal z nadzieją
Pięć lat to sporo ale za krótko
by odkryć swój kraj
za granicą

* * *

Nie spotkali się w pociągu
ani na targu z zapachem pomarańczy
na wyciągnięcie ręki moło
tu ich spojrzenia dotarły
Nic nie wiedzieli o sobie
bo nic się nie wie o nieznajomych
ale uśmiech ich oczarował
i pierwsze słowa

* * *

To bardzo wyjątkowy obraz
nienamalowany
dusza w kolorowych kokardach
drewniane chodaki
i stopy w morskich falach głębokiego szafiru

pomarańczowe całusy
na tylnym siedzeniu śmiech
i tyle świetlistych marzeń
jesteś i odlatujesz
na dywanie tulipanów strużka łez

zawsze będę Cię wspominał na głos
byś nie umarła dwa razy

Lubię maki

Wśród tej czerwieni wzywającej z daleka
dywanu stąpnięć kruchej
naszej ziemi

oko zachwycone
majestatyczną prostotą
ta bliskość kwiatów łodyg i korzeni

* * *

Tyle zła – trzeszczę w środku
jak drzewo kora pień gałęzie
nie chyboczę nie panikuję
korzenie zanurzam w źródle

Za mojego życia

Poszedłem na spacer
po swoim osiedlu
chciałem zaczerpnąć
świeżego powietrza

Na tablicy przy sklepie
już z daleka
dojrzałem świeżą klepsydre

Nie wierzę swym oczom
czy to mi się zdaje
tchu mi brakuje
I tu, i w innych miejscach

wisi mój nekrolog

* * *

Z ogrodu mojej mamy
herbacyany zapach

wspomnień delikatnych róż

żółtych czerwonych
białych

ich
płatki drgają

na dumnych łodygach
kolce i zieleń

Agnieszka Mohylowska

sami wybieramy miejsca których chcemy dotknąć

słońce schodziło z nieba
gdzieś pod powłoką rósł księżyc

na cienkich nogach w ciężkim makijażu
nad trumną dziadka
po raz pierwszy dotknęłam śmierci

w powietrzu wisały oddechy
cofnęłam się w głąb i stamtąd patrzyłam
z głową pełną strzępów wieczoru

chwyciła mnie czyjaś ręka
zadrżałam

bo od urodzenia czułam
tylko zimno i obtłuczoną skórę jabłka

język się nie zmieniał

stada

w powietrzu unosiło się słońce
zawiewał wiatr
ale było tak gorąco
że skóra nie oddychała

na ulicy nikt się nie rozglądał
gapiłam się na koła
pędzące po asfalcie sznury
zwężające się miejsca

na chodnikach robiło się ciasno
szłyśmy więc brzegami
we wszystkie strony